

ROZMOWA

Pamięta Pan swoją pierwszą lekcję i to, co Pan wtedy czuł?

– Nie było to tak dawno, więc doskonale pamiętam swoje przerażenie, gdy wszedłem do sali pełnej samych chłopców, dla których byłem kolejnym nauczycielem „na chwilę”, bo wszyscy od nich uciekali. Byliśmy niemal rówieśnikami, ja miałem 24, a najstarsi z nich nawet po 21 lat i багаż trudnych doświadczeń za sobą. Tylko z tego Społecznego Liceum im. Adama Asnyka, prowadzonego przez stowarzyszenie Szansa w Lublinie, przyszedł odzew na moje CV. Na studiach pracowałem już z młodzieżą zaniechaną, jako wychowawca jeździłem na obozy z dziećmiakami z rodzin, którymi zajmowała się opieka społeczna, jakiegoś doświadczenie miałem. Postanowiłem więc spróbować.

Ta pierwsza lekcja odbyła się na zasadzie kto – kogo. Od razu zaczęli mnie testować, a ja nie bardzo wiedziałem, jak się zachować, poza tym, że należy być konsekwentnym. Łatwo powiedzieć, trudniej wytrzymać taką presję. Przyjąłem jednak, że jeśli uda mi się nawiązać z nimi dobrą relację, ale nie na zasadzie kumpłowania, lecz wyraźnie wyznaczonych granic, to oni też nie będą chcieli mnie skrzywdzić. No i tak przez mniej więcej trzy tygodnie ustalaliśmy te granice i zasady postępowania. Oni bacznie mnie obserwowali i dopiero stopniowo zaczęli się przekonywać, bo oczywiście najpierw uważali, że odniosą sukces, jeśli i mnie zmuszą do odejścia. Jakoś to wytrzymałem, starałem się panować nad sobą i być wobec nich właśnie konsekwentny. Ważne, by się nie dać niczym sprowokować, nie przestraszyć i odnosić się do nich z szacunkiem.

Klasy liczyły od 20 do 25 uczniów. Zaakceptowali mnie, gdy zrozumieci, że stawiam wymagania, bo życie też je stawia. Ich głównym problemem był absolutny brak motywacji do podejmowania jakiegokolwiek wysiłku intelektualnego. Ucząc biologii i chemii, starałem się robić dużo doświadczeń. Szkoła była dobrze wyposażona w pomoce dydaktyczne, dyrekcja chętna do pomocy. Dla takiego ucznia ważne jest dostrzeżenie zastosowania wiedzy w życiu, więc gdy dostawali zadania praktyczne, mniej w nich było oporu, a więcej ciekawości. Potrafił badać, co dawało lepsze rezultaty niż wykład. Przepracowałem tam trzy lata...
Dlaczego Pan stamtąd odszedł?

– Bo jednak była to praca bardzo obciążająca psychicznie. Przychodził do mnie uczeń z autentycznymi problemami, a ja nie wiedziałem, jak mu pomóc, nie znajdowałem dla nich rozwiązań. W dodatku przez cały rok dochodzili nowi uczniowie, co rozbijało proces dydaktyczny. W kółko trzeba było ustalać pewne zasady. A efekty starań w większości przypadków były trudno zauważalne. Większy nacisk kładliśmy na pracę wychowawczą, mniejsze znaczenie miały osiągnięcia dydaktyczne. Chodziło o to, by tych uczniów wdrożyć w system nauki, dać im poczucie, że potrafią się nauczyć, a nawet np. zdać maturę. Zrezygnowałem też dlatego, że przez te trzy lata pracowałem na umowę-zlecenie, bez płatnych wakacji i ferii. Za ciężką pracę dostawałem wynagrodzenie, delikatnie mówiąc, niesatysfakcjonujące.
A dlaczego w ogóle szkoła, to tradycje rodzinne?

– Nie, w mojej rodzinie nie ma takich tradycji. Co prawda już jako nastolatek wymyśliłem sobie, że chciałbym być nauczycielem, ale gdy poszedłem na studia, uznałem, że szkoła daje zbyt małe szanse rozwoju zawodowego, i wybrałem biotechnologię. Swoją przyszłość widziałem na uczelni, przy projektach badawczych. Pod koniec studiów miałem dwumiesięczne praktyki w Polskiej Akademii Nauk. Uznałem, że lepiej nie mogłem trafić. Szybko się jednak przekonałem, że spędzenie wielu godzin w laboratorium nie jest dla mnie, zupełnie się w tym nie widzę. Po tych praktykach zweryfikowałem własne plany życiowe. Na czwartym roku studiów stwierdziłem, że nie chcę przez całe życie siedzieć zamknięty z próbkami w laboratorium. Praca z człowiekiem wygrała. A więc szkoła, ale kwalifikacje nie te, no i wtedy poszedłem na biologię z chemią, wydłużając sobie studia o trzy lata. Co prawda na biologii niektóre przedmioty mi zaliczyli, ale chemii musiałem się uczyć od początku. W moim roczniku wiele osób studiowało dwa kierunki. Jeszcze się uczyłem na tym drugim kierunku, gdy trafiłem do tej szkoły. Najpierw jednak przeszedłem rekrutację.

– No tak, w „Asnyku” musiałem przeprowadzić pokazową lekcję i zdać test z wiedzy merytorycznej, z umiejętności udzielania pierwszej pomocy. Sprawdzano też, czy znam swoje prawa i obowiązki jako nauczyciel. Dziś uważam, że to był bardzo dobry początek, bo nabrałem do siebie dużo dystansu, zacząłem rozumieć sytuację ucznia. Gdybym zaczął od



Na czwartym roku studiów stwierdziłem, że nie chcę przez całe życie siedzieć zamknięty z próbkami w laboratorium. Praca z człowiekiem wygrała. A więc szkoła...

razu w renomowanej szkole, poszedłbym w kierunku wymagań i mógłbym zgubić człowieka.

Jakie było rozstanie z nimi?

– Trudne, dyrekcja przekonywała, żebym został. Najbardziej było mi szkoda tej młodzieży, bo jednak zżyliśmy się z sobą. Jeśli się zaskarbiło serce takiego trudnego ucznia, to on potrafił dać z siebie bardzo dużo, byle nie zawieść nauczyciela.
Jak Pan trafił do „Plastyka”?

– Dowiedziałem się, że zwalnia się miejsce i złożyłem CV. Tu pierwszym etapem rekrutacji była rozmowa z dyrektorką. Pytali, jak mogę wykorzystać zdobyte doświadczenie w rozwoju placówki, jaką mam wizję swojej pracy, co chciałbym z tą młodzieżą zrobić. Spośród pięciu kandydatów, których poznałem podczas spotkania otwartego, byłem najmłodszy. Uznałem, że odpadne, bo miałem dopiero trzy lata pracy i stopień nauczyciela kontraktowego. Strzałem w dziesiątkę okazało się przeprowadzenie lekcji pokazowej z wykorzystaniem eksperymentów i doświadczeń praktycznych.

Uczy Pan teraz w szkole dla artystów, kto tu kogo inspirował?

– Inspiracja jest obustronna. Ja też staram się wykorzystywać ich umiejętności. Np. ostatnio poleciłem licealistom zrobienie modelu DNA, tak jak go widzą, i z tego, co przyjdzie im do głowy. Ta młodzież widzi przestrzenie i wie, z czego można różne rzeczy zrobić. Otrzymuję modele zrobione z płatków śniadaniowych, żelków, styropianu, śrubek. Wszystkie elementy są ze sobą prawidłowo połączone. Oni wiedzą potrafią przełożyć na prace plastyczne, wykorzystają ją w tym swo-

im artystycznym świecie. Każdy nasz uczeń wykonuje pracę dyplomową, która ma pokazać zdobyty w szkole warsztat. Dostawałem np. wykonane w drewnie rzeźby przedstawiające stworzenie świata lub pośrednie ognia ewolucji. Niektórzy robią ilustracje do książek. To ich spojrzenie na świat jest inne niż moje, i to jest inspirujące.
A jak się z nimi pracuje?

– Fantastycznie, co nie znaczy łatwo. Ta młodzież jest bardzo obciążona nauką. Przebywają w szkole od godz. 8 do 17. Do przedmiotów ogólnoszkolnych dochodzą artystyczne. W 30-osobowej klasie jest grupa utalentowanych i pracowitych, przy tym zdyscyplinowanych. Ale są też talenty artystyczne, żyjące nieco abstrakcyjnie. Ich nieraz trzeba z tych wyzym ściągnąć i osadzić na ziemi, co jest trudne. Taki uczeń nie przejmując się np. złapaniem trzech jedynek z rzędu. Staramy się uczyć ich bardziej realnego spojrzenia na świat.

Na czym polega ich specyfika?

– Wyróżniają się wrażliwością oraz... ubiorem i wyrazem estetycznym. Nie robimy problemu, gdy ktoś przyjdzie np. z kolorowymi włosami. W końcu nikogo to nie krzywdzi. Musimy panować nad emocjami, uważać na komunikaty, które im przekazujemy, by nie zamknęły się w sobie. Np. powiedzenie komuś, że nie da sobie rady, bywa miażdżące. Wszystko odbierają intensywniej niż przeciętny młody człowiek, więc z nimi trzeba inaczej: spróbuj, uda ci się. Na zasadzie pozytywnego wzmocnienia. Ci uczniowie na przedmiotach artystycznych traktowani są jak twórcy, mają wiele swobody, mogą wyrazić swoją ekspresję, po czym idą na moją chemię i muszą postępować według utartych schematów oraz się skupić.

Paradoksalnie te dwie grupy bardzo różnej młodzieży z obu szkół, w których Pan uczył, sporo łączy.

– To prawda, ale różnica między nimi jest zasadnicza. Uczeń z „Plastyka” chce się w nim uczyć, wie, że jeśli sobie nie poradzi z przedmiotami ogólnoszkolnymi, musi odejść do zwykłej szkoły. Z każdego rocznika rezygnują trzy-cztery osoby. Tu stawia się na wyniki edukacyjne, nie ma taryfy ulgowej, w tamtej szkole ważniejsze było wychowanie.

Jest Pan wychowawcą klasy gimnazjalnej, uczy też w liceum. Jak to będzie w Waszej szkole po obecnej reformie?

– Ubolewamy, że zamknięte są gimnazja. Gdy przychodził do nas 13-latek, a wychodził 19-latek, mieliśmy sześć lat w gimnazjum i liceum na je-

go ukształtowanie. Uważam, że etap gimnazjalny jest czasem, kiedy młody człowiek jest bardzo chłonny i otwarty na wszelkie nowości, ma też większy zapas energetyczny. Te utalentowane dzieciaki na powrocie do podstawówki straca, bo nie będą miały szansy się rozwijać. Reformując, niekoniecznie trzeba cały system przewracać do góry nogami, dużo lepiej, gdyby zmniejszyć liczebność klas, dać uczniom większą pomoc psychologiczną, bo oni jej potrzebują. Nasze mądre dzieci bywają słabe psychicznie, nieodporne emocjonalnie. Im potrzeba wsparcia. Zresztą cała dzisiejsza młodzież jest coraz mniej odporna na różne trudności, szybciej się poddaje, natomiast intelektualnie jest bardzo sprawna. Niestety, nauczycieli nikt nie słucha.

Jak Pan ocenia nową podstawę programową z przedmiotów przyrodniczych?

– Mówi się o zwiększeniu liczby godzin z biologii i chemii, ale patrząc z perspektywy mojej szkoły, jako nauczyciel będę stratny. W każdym roku, któregoś klasa wybierała biologię lub chemię rozszerzoną, miałem więc tych godzin dużo. Po reformie rozszerzeń nie będzie. Zostaną z czterogodzinną ramówką dla biologii i chemii w cyklu nauczania, a więc z połową obecnej siatki godzin. Bo „na rozszerzeniu” było osiem albo dziewięć godzin w każdej klasie. Dla mnie jest to ewidentna strata także dlatego, że do tej pory mogłem pracować z uczniem, który sam mnie wybrał, a więc znany i zainteresowany do nauki mojego przedmiotu. A teraz wszyscy uczniowie niezależnie od swoich zainteresowań mają iść tym samym programem i mieć taką samą siatkę godzin. Trudna jest praca na tym samym wysokim poziomie z uczniami zainteresowanymi i niezainteresowanymi przedmiotem.

Co w tej podstawie wymagałoby Pana zdaniem korekty?

– To, żeby ten uczeń jednak mógł dokonać wyboru. Minusem jest też niewielka liczba zajęć praktycznych. Znowu wracamy do wiedzy encyklopedycznej. Obecnie uczeń, który nie jest szczególnie zainteresowany jakimś przedmiotem, ma go tylko rok, ale w podstawie z tego przedmiotu są treści mocno nawiązujące do życia, więc przynajmniej dowiaduje się z niego tego, co może mu się do czegoś przydać. Teraz zwiększamy siatkę godzin dla wszystkich uczniów, ale moim zdaniem stracą i ci zainteresowani przedmiotem, bo nie dostaną szansy pełnego rozwoju, i ci nim niezainteresowani, którzy zostaną zmuszeni do przyswojenia wiedzy encyklopedycznej. A dziś mają ją wszędzie na wyciągnięcie ręki.

Nauczyciel powinien być dla ucznia przewodnikiem, pokazywać mu to, czego sam nie odkryje, otwierać go na świat. Obserwujemy zmęczenie młodzieży natłokiem informacji atakujących ze wszystkich stron, problemy z ich selekcją. Powinniśmy pokazywać, którą ścieżką warto iść, a nie wtłaczać im w głowę definicje. Ta reforma, moim zdaniem, nie osiągnie zamierzonego celu.

Autorzy nowej podstawy wielką wagę przywiązują do kształ-



Na moich oczach ludzie codziennie umierali na malarię i na AIDS. W Polsce nie mam tak traumatycznych doświadczeń związanych z odchodzeniem. Przeżyłem bardzo dużo kryzysów

towania u młodzieży postawy patriotycznej. Pan to robi po swojemu. Jak?

– Zapytałem kiedyś swoich uczniów, kto jest dla nich autorytetem. No i usłyszałem, że takich już nie ma. Nie potrafili nikogo wskazać. To mnie bardzo zastanowiło, bo jeśli człowiek nie ma się na kim wzorować, może mieć trudności z obraniem drogi życiowej. Postanowiliśmy z moją klasą poszukać tych autorytetów, sięgając do pokolenia wojennego, które w bardzo trudnych czasach żyło w zgodzie z wartościami. Skupiliśmy się na powstańcach warszawskich, żołnierzach Armii Krajowej, więźniach obozów koncentracyjnych i zesłańcach syberyjskich. Projekt zyskał duże uznanie społeczności lokalnej. Gdy ci ludzie opowiadali swoje historie balansujące na granicy życia i śmierci, widziałem autentyczne wzruszenie u gimnazjalistów. To były bardzo silne emocje ważne dla wszystkich. Dla mnie, bo wiedziałem, że ten młody człowiek zapamięta to do końca życia. Dla ucznia, bo poznawał historię prawdziwą. A nasz na ogół bardzo już wiekowy rozmówca czuł, że jest komuś potrzebny. Projekt kontynuujemy. Obecnie spisujemy relacje tych świadków historii, pokazując ich życie od narodzin aż po czasy współczesne. Znajdzie się tam wszystko to, co tej osobie jest bliskie, co jej towarzyszyło w całości życia i pozwoliło w trudnym okresie przetrwać. Uczniowie robią im profesjonalne fotografie, potem wykonują ich portrety. My te portrety przekazujemy tym starszym ludziom jako wyraz naszej wdzięczności za zgodę na udział w projekcie. Znajdą się one też w przygotowywanej przez nas publikacji książkowej łączącej pokolenia. Młodzież naszej szkoły wykona szatę graficzną, ilustracje, co sprawi, że ta książka będzie darem młodego pokolenia dla tamtego pokolenia.

Dość daleki jest ten projekt od biologii i chemii...

– Nigdy nie przypuszczałem, że coś takiego zrobię, ale zmobilizowało mnie wychowawstwo i chęć zaszczepienia młodym pewnych postaw. Chodziło mi o projekt przydatny społecznie, który poruszy emocje ucznia i zapadnie w jego pamięci do końca życia. To już ostatni moment, by do tych ostatnich świadków historii dotrzeć, za kilka lat ich już nie będzie.

Skąd pomysł z wolontariatem w Tanzanii? Ostatnie wakacje spędził Pan, ucząc dzieci w Afryce.

– Często słyszę od naszych uczniów: a po co mi to, po co mam się tego uczyć. Zacząłem się zastanawiać, czy są takie miejsca na świecie, gdzie uczeń chce się uczyć sam z siebie. Chciałem zobaczyć, jak to jest pracować z osobami, które garną się do wiedzy i dla których szkoła jest szansą na przyszłość. Pomyślałem, że takim miejscem będzie Afryka. O ten wolontariat starałem się rok. Wcale nie było to łatwe. W Tanzanii wolontariat jest zakazany, ponieważ rząd oczekuje turystów, kapitału zagranicznego, a nie pomocy. W końcu dotarłem do Ojców Białych, którzy prowadzą w Tanzanii szkołę, przedszkole i placówkę przyszpitalną. Przejąłem obowiązki siostry zakonnej, która w wakacje miała urlop.

Językiem urzędowym w Tanzanii jest suahili i język angielski. W ośmioklasowej szkole podstawowej językiem wykładowym jest suahili, ale żeby pójść do szkoły średniej, uczeń musi biegle znać angielski. 90 proc. absolwentów podstawówek go nie zna, więc trafia do zawodówek lub kończy edukację. Tych 10 proc. dostaje się do szkół średnich, zdaje maturę i dostaje przydział na studia, a po nich przydział do pracy. Tam rząd kieruje ścieżką edukacyjną. Jednak większość młodych Tanzańczyków i tak kończy na ulicy, sprzedając owoce i warzywa.

Co Panu dało to doświadczenie?

– Pokazało mi moje słabości, z którymi jako człowiek muszę się zmierzyć. Na moich oczach ludzie codziennie umierali na malarię i na AIDS. W Polsce nie mam tak traumatycznych doświadczeń związanych z odchodzeniem. Przeżyłem bardzo dużo kryzysów. I tak byłem w dużo lepszej sytuacji, bo wiedziałem, że po tych dwóch miesiącach wrócę do swojej Europy. Nauczyło mnie to wrażliwości na drugiego człowieka i docenienia tego, co mam, za ile rzeczy powinienem być wdzięczny. Prowadząc teraz lekcje, często odnoszę się do tamtego doświadczenia. Uczniowie też pytają. Historia z Tanzanią służy mi do pokazania im, że mimo naszych lęków, a ja ich miałem bardzo dużo, bo moja rodzina i narzeczona byli przeciwni, warto się odważyć. Nauczyłem się dużo o sobie. W przyszłym roku planuję wyjazd na rok do Gruzji, żeby pracować z Polonią. Nauczycielstwo jest pięknym zawodem, który daje wiele możliwości rozwoju, trzeba tylko wiedzieć, jak je wykorzystywać. **Dziękuję za rozmowę.** □